

Zdzisław Morawski

ŚW. KAROL BOROMEUSZ

na tle odrodzenia religijnego w XVI wieku

Niektóre słowa uwspółcześniono.

I. Początki odrodzenia religijnego w XVI w. – Paweł III

Słusznie powiada Macaulay w słynnym eseju „O rzymsko-katolickim Kościele”, że gdy się rozważy owe powtarzające się ciągle w biegu stuleci zawistne napaści na Kościół katolicki, które przetrwał on przecież żywy, to doprawdy pojąć trudno, co by go w ogóle do zagłady mogło przywieść. W pierwszej połowie XVI wieku zdawało się istotnie, że godzina tej zagłady dlań wybiła. Luter, Zwingli, Kalwin, a za nimi inni nowatorzy bili jak taranem w mury kościelne. Pierwszy z nich nawoływał uczniów, ażeby „mową i pieśnią, piórem i pędzlem” godzili w papieżstwo, a groził, że „przeklętym będzie, kto by się do tej pracy lenił”. Broń duchowa zamieniała się coraz częściej w materialną, bo książęta świeccy, wyzyskując walkę sumień dla świeckich celów, zamiast uśmierzać wzmagali zamęt, zamiast spajać rozdawali jeszcze bardziej społeczność chrześcijańską. Z żywego jej ciała wyrwano trzecią część, wielki odłam Niemiec, Szwajcarię, Anglię, Skandynawię. Piętnastowiekowy trud apostołski kruszył się w kawały, i wedle ludzkich pojęć zanosilo się już doprawdy na to, że się takiemu sprzysiężeniu wrogich sił uda łatwo i prędko dokonać dzieła, zburzyć budowę kościelną. Bo mury jej, silnie zarysowane od wewnątrz, zbyt na pozór słaby tylko opór stawiać mogły. Skończona dopiero przed wiekiem wielka schizma Kościoła, która wśród papieży i antypapieży zawichrzyła sumienia; wskrzeszenie pogaństwa przez bałamutnych zwykle, a w końcu zwyrodniałych nieraz humanistów; w skutek ustawicznych walk nowopowstałych tyranów włoskich pomiędzy sobą, wciągnięcie i państwa papieskiego w ten ruch współzawodniczy, który często wywoływał tak groźną dla Kościoła politykę rodową i zakusy dynastyczne nepotów; za przykładem z góry zeświecczenie całej hierarchii kościelnej w zupełnym rozluźnieniu dyscypliny i obyczajów: - wszystko to uprawiało rolę pod siew nowatorów północnych i dało im broń gotową do ręki w chwili buntu. Rzadkie głosy przestrogi nie miały posłuchu. Na próżno wskazywał taki Egidio z Viterbo przy pierwszej próbie reformy, przy otwarciu soboru laterańskiego w roku

1512, „że ludzi należy zmieniać przez religię, nie zaś religię przez ludzi”. Soboru tego zbawienne skądinąd nauki pozostały literą martwą, bo do ich przeprowadzenia brakowało potrzebnej energii u góry. Papieże z rodu Medyceuszów nie mieli dość hartu na czas walki. Leon X, który *suave jugum* – słodkie jarzmo – za godło przyjął, nie doceniał grozy owej burzy, jaka nadciągała spoza Alp. Klemens VII, wahający się ustawicznie, polityk na miarę Florencji a nie Rzymu, dał się bezbrinnie tej burzy zaskoczyć w sądnym dniu Odrodzenia, w okropnym *Sacco di Roma*.

Szkoda była nie do naprawienia, rozłam kościelny dokonany. Należało teraz reformą podjętą od wnętrza ratować, wzmacniać to, co pozostało. Związek tej pracy był cichy i skromny. W najświetniejszym okresie pontyfikatu Leona X, wśród uroczystości, uciech i zabaw przekwitu Odrodzenia, a we wigilię niemal północnego buntu, bo w tym samym pamiętnym roku 1517, którego zmrok oświecił złowrogą błyskawicą protest wittenberski, garstka głębiej myślących i dalej wzrokiem sięgających ludzi zaczęła się schodzić w małym kościele św. Sylwestra i św. Doroty na cichym Zatybrzu rzymskim. Celem tych schadzek były zapewne zrazu te tak drogie ludziom owej epoki dyskusje z dziedziny filozoficznej i teologicznej. Ale niebezpieczeństwo chwili cele te wnet pogłębiło, liczbą świeckich i duchownych członków wzrosła, i zawiązało się stowarzyszenie pod wezwaniem Bożej Miłości. Wspólna modlitwa, słuchanie razem kazań, częstsze przystępowanie do Sakramentów, rozdawanie jałmużn i inne dzieła miłosierdzia, wreszcie roztrząsanie potrzeb Kościoła, a tymi drogami odnowienie i przekształcenie siebie samego, szerzenie reformy kościelnej słowem i piórem, nade wszystko zaś przykładem własnym, - to były wytyczne linie nowego stowarzyszenia. Zdobiły to grono doborowe cnotą, nauką i stanowiskiem nazwiska, jak zaliczonego w poczet świętych Kajetana z Thiene, jak Gian Pietra Caraffy, późniejszego papieża Pawła IV, jak świetnego humanisty Sadoleta, lub biegłego dyplomaty Gibertiego, który zasłynął miał po kilkunastu latach jako wzór biskupa w Weronie. Niebawem i w innych miastach włoskich utworzyły się podobne związki: zrzeszano się w tych samych celach w Genui i w Brescji, w Wicencji i w Weronie, a w Wenecji stawali na czele tamtejszego grona znakomity reformator benedyktynów Gregorio Cortese i szlachetny mąż stanu Gasparo Contarini i do nich przyłączył się wnet dostojny zbieg z rodu królewskiego Anglii, uchodzący przed prześladowczą ręką Henryka VIII, Reginald Pole. Twierdzą praw Bożych zwał owe bractwa Bożej Miłości biograf Pawła IV Caracciolo, a w tej twierdzy

przechowywany płomień prawdziwej wiary i nieskażonej myśli kościelnej rozniecał kolejno światło w dalszych i szerszych kołach.

Bezpośrednim skutkiem było wyłonienie się z tych zgromadzeń pod przewodem Kajetana z Thiene i Caraffy zakonu teatynów, który oddani wychowaniu i naprawie duchowieństwa świeckiego stał się szybko istną szkołą biskupów, rozchodzących się z niego na liczne diecezje. Równoległe zaś z powstaniem teatynów, po części także pod wpływem stowarzyszenia Bożej Miłości, zawiązywały się nowe zakony barnabitów, kapucynów, somasków, poświęcone pracy misyjnej między ludem, dziełom miłosierdzia i uobyczajenia, a ratujące swoim przykładem powagę klasztorną wśród zgorzenia, które dawało tyle starszych, upadłych moralnie zakonów. Do wszystkich tych nowych apostołów naprawy wewnętrznej miał nareszcie przystąpić inny jeszcze zastęp pracowników duchowych, a najdzielniejszych potem szermierzy w walce z reformacją: 15 sierpnia 1534 roku, w dzień Wniebowzięcia Najświętszej Panny, siedmiu mężów, przybyłych z różnych krain na studia do Paryża, zeszło się na wzgórzu Montmartre, w kościele postawionym na miejscu śmierci męczeńskiej pierwszego apostoła Francji. Tam po wysłuchaniu mszy świętej i wspólnym przyjęciu komunii złożyli śluby i postanowili oddać się papieżowi na wszelkie posługi duchowe, których by od nich żądał. Przywódcą tej garstki był Ignacy z Loyoli, a z drobnego zawiązku wyrosnąć miało i rozgałęzić się z zadziwiającą szybkością potężne Towarzystwo Jezusowe. Żywych narzędzi do naprawy kościelnej mnożyło się więc u dołu coraz więcej. Konieczną atoli było jeszcze rzeczą, aby ten prąd nowy, aby to zrozumienie zadań duchowych chwili sięgnęło w górę, aż na wyżyny hierarchii i do samego jej szczytu. Stało się to, gdy po śmierci nieszczęśliwego Klemensa VII wstąpił na Stolicę Apostolską Paweł III Farnese.

Dziwnym zrządzeniem Opatrzność wybrała jako zwrotnika na te nowe drogi starca, sięgającego wychowaniem i tradycją, zwyczajem, a nawet dobrym obyczajem w dobiegającą kresu epokę. Bo Paweł III był za młodu uczniem najszczerzej może, ale i najrdzenniejszym pogańskiego humanisty Pomponiusa Laetusa, w słynnej jego rzymskiej akademii; następnie chował się we Florencji, na rozkosznym dworze Medyceuszów, w towarzystwie synów i bratanków wspaniałego Lorenza; potem znów w Rzymie, a to na wstępie do kariery kurialnej, potrafił szybko zjednać sobie łaski wszechmocnego naówczas kamerlinga Rodryga Borgii, który wstąpiwszy na Stolicę Apostolską jako Aleksander VI, ozdobił wnet młodzieńca kardynalską purpurą. Każda z tych stacji

zostawiła na Pawle III jakiś ślad na całe życie. Z pierwszej wyniósł on chyba tę tak nieliczącą z powagą arcykapłańską zabobonność i wiarę w gwiazdy, wedle których do końca długiego żywota przed każdym ważniejszym przedsięwzięciem naprzód horoskop przez nadwornych astrologów stawiać sobie kazał. W drugiej, florenckiej nabrać musiał tego zamiłowania do przepychu i świetności, co mu z resztą jednało poklask zawsze uciech i widowisk spragnionego rzymskiego ludu. W trzeciej wreszcie, w otoczeniu Borgiów i za ich pewnie przykładem, oswoił się z duchem i praktyką tyle papieżu szkód wyrządzającego w owych czasach nepotyzmu, który i na jego pontyfikat nadmiernym wywyższaniem rodu Farnesów cień rzuca.

A przecież to dziecko Odrodzenia, ten z krwi i kości człowiek z *quattrocenta*, potrafił szerokim umysłem objąć od razu zmienione całkiem położenie Kościoła i rozeznac się w jego nowych, naglących potrzebach. Zdolnościom wrodzonym dawało praktyczny pokład długoletnie doświadczenie nabyte w ciągu sześciu pontyfikatów, kiedy stojąc na wysokich szczeblach hierarchii, śledził z bliska grę wypadków i często wmieszany był w ich zamęt: pamiętał pierwszą wyprawę Karola VIII do Włoch, następnie ligę z Cambrai i bitwę pod Rawenną, potem bitwę pod Pawią i przeżył *sacco di Roma*, a dzieląc niewolę Klemensa VII w zamku św. Anioła; patrzył na początki reformacji i widział jej przerażająco szybki rozrost, odszczepieństwo Niemiec, potem Henryka VIII i Anglii. Wskutek tych doświadczeń postanowił więc zmienić politykę Rzymu, wyrwać papieżstwo z wiru zapasów Hiszpanii z Francją, stanąć jeżeli nie ponad, to przynajmniej na czas dłuższy poza walką stron, a natomiast strzec interesów Kościoła i wlać weń odporność na bój z reformacją. „Kim jest Paweł III – pisał o nim współczesny mu nasz Hozjusz, - to najłatwiej po tym poznać, kogo sobie na doradców wybiera”. Bo z rzadką trafnością sądu i znajomością ludzi zdołał Farnese zaraz w pierwszych latach swojego pontyfikatu zszeregować w około siebie doborowy zastęp mężów, branych właśnie przeważnie spośród owych cichych pracowników z epoki papieży Medyceuszów, i stworzyć kolegium kardynalskie, jakiego Rzym już dawno nie pamiętał. Nowi purpuraci jak Caraffa i Sadoletto, jak Contarini i Reginald Pole, jak późniejszy papież Cervini, jak Cortese, Morone i Fregoso, przejęci duchem na wskroś kościelnym, a gorących serc i podniosłych umysłów, byli doskonałymi narzędziami do podjęcia reformy, dla której papież osobną komisję z grona ich wybrał i której prace sam śledził gorliwie. Równocześnie zaś otoczył Paweł III nowopowstałe zgromadzenia zakonne szczególną opieką, zatwierdził regułę zakonną Towarzystwa Jezusowego, somasków,

barnabitów, urszulanek, uratował zagrożony w swoim istnieniu głośnym odszczepieństwem Ochina związek kapucynów, a teatynom sprowadzonym z weneckiego zacisza polecił dźwigać moralnie lud rzymski, znękany jeszcze po „klęsce burbońskiej” z 1527 ro. Sam związany z przeszłością, nie był on w pełni tego słowa człowiekiem reformy katolickiej, lecz rozwarł do niej wrota znakomitym swym następcom z drugiej połowy XVI wieku, gdy wydobywszy na wierzch, z katakumbowego nieraz prawie ukrycia tyle żywotnych sił w społeczeństwie kościelnym, przystępował po kilkunastoletnich rządach do fundamentalnego dzieła naprawy, do otwarcia soboru trydenckiego.

Taki był stan Kościoła, i właśnie czwarty rok pontyfikatu Pawła III dobiegał końca, kiedy w północnych Włoszech przyszło na świat dziecko, które wyrósłszy, poświęcić miało cały swój żywot tej świeżo rozpoczętej reformie i stać się jednym z jej najdoskonalszych, uświęconych wzorów: 2 października 1538 r. w dzień śś. Aniołów Stróżów urodził się Karol Boromeusz.

II. Młodość św. Karola

Na południowym zakręcie Lago Maggiore, tam, gdzie jego wody poza kwitnącymi gajami Pallanzy, Stresy i rozkosznej Isola Bella zwięzają się, spływając wśród niższych już, winnicami pokrytych wzgórz ku żyznej równinie lombardzkiej, na zachodnim brzegu, a niedaleko ujścia Ticina z jeziora, leży miasteczko Arona.

W XVI wieku wznosił się tam zamek, w którym mieszkał ojciec św. Karola, hrabia Giberto Borromeo. Starożytny ród Boromeuszów pochodził z Toskanii, z San Miniato al Tedesco, skąd go wojny domowe na północ do Lombardii, najpierw do Pawii, potem do Mediolanu zagnały. W epoce długich wojen francuskich i hiszpańskich na ziemi lombardzkiej zdołał hrabia Giberto wyjść cało z burzy i uratować swe obszerne włości i lenna, a nawet osiąść względy Karola V, który go chętnie wyszczególniał. Ożeniony był z Margheritą de’Medici z Mediolanu, siostrą margrabiego di Marignano, dość głośnego naówczas kondotiera w służbie cesarskiej i kardynała Giovan Angela de’Medici, późniejszego papieża Piusa IV. Mediolańscy ci Medyceusze nie mieli nic wspólnego z Medyceuszami florenckimi i nazwisko ich brzmiało pierwotnie Medichino, a pochodzenie było skromne. Dopiero skoligacenie się z rodem Serbellonich z którego

wyszła ich matka, potem małżeństwo siostry z Boromeuszem, otwarło im wstęp do patrycjatu mediolańskiego. Gdy zaś kardynał Giovan Angelo wstąpił na Stolicę Apostolską, zabiegający o jego łaski wielki książę tokański Kosma Medyceusz przyznał się chętnie do tak zaszczytnej, a politycznie dogodnej mu parenteli i w herbie Piusa IV widniały odtąd zawsze znane palle Medyceuszów florenckich.

Giberto Boromeusz był według świadectwa Giussana, towarzysza i biografa św. Karola, człowiekiem spokojnym i bogobojnym, a tak dobroczynnym, iż go przyjaciele nieraz musieli przestrzegać, żeby zbytnią szczodrobliwością nie uszczuplał mienia i własnych nie krzywdził dzieci. W domu przestrzegał obyczaju, aby nie siadać nigdy do stołu, nie obdarowawszy wprzód ubogich jałmużną. Z resztą skłonny był do samotności, a podobny żywot wiodła małżonka jego Margherita, która chętnie stroniła od ludzi i światowego zgiełku, opuszczając dom chyba dla odwiedzania kościołów i klasztorów, poza tym zaś oddana była tylko dzieciom i ich wychowaniu. Z dzieciństwa św. Karola, drugiego z rzędu syna po starszym, Fryderyku, i z pierwszych jego lat młodzieńczych niewiele zachowało się szczegółów. Tyle wiadomo, że chłopiec był cichy, skromny, że unikał głośnych gier rówieśników, a zabawiał się chętniej sam ustawianiem i przystrajaniem małych ołtarzy i kapliczek, w czym najmilszą znajdował uciechę, a czego pamięć zachował hymn śpiewany co rok w Mediolanie w dzień jego święta:

Primis ab annic innocens

Aris struendis luserat.

W Mediolanie odwiedzał pilnie w chwilach wolnych od nauki kościoły, a jeżeli u młodych jego towarzyszków ta wczesna jego niezwykła pobożność wywoływała czasem przycinki i żarty, to uderzała ona już wtedy i zastanawiała starszych. I tak opowiadają, że Bonawentura Castiglione, czcigodny przełożony kolegiaty Ambrozjańskiej ze szczególną go zawsze uszanowaniem już prawie nacechowaną serdecznością witał, zapytany zaś o powód tak niezwykłego wyróżnienia młodzieniaszka: „Wy go nie znacie – odrzekł jakby proroczo – a on kiedyś będzie reformatorem Kościoła i wielkich dokona rzeczy”.

To usposobienie dziecka, tak wczesne rokujące powołanie do stanu duchownego, skłoniło hrabiego Giberta, aby częstym naówczas, a z resztą przechowanym do

dzisiejszego dnia¹ we Włoszech zwyczajem, młodziutkiego jeszcze syna oddać na służbę Bożą. W dwunastym roku życia otrzymał więc św. Karol niższe święcenia, nie wiążące na żywot cały, ale przygotowujące niejako do kapłaństwa i przywdział suknię duchowną. Równocześnie nadał mu jeden z krewnych opactwo św. Gracjana w rodzinnej Boromeuszów Aronie. Podobne nadawanie beneficjów kościelnych było rozpowszechnionym w owych czasach nadużyciem, a to z tych nadużyć właśnie, z którymi św. Karol miał najostrej sam później walczyć. Wtedy nie raziło to nikogo; owszem ubiegano się ogólnie o takie wczesne zaopatrzenia, i Giberto Boromeusz z wdzięcznością przyjął dar zabezpieczający przyszłość syna. Wysłał go też wkrótce, kiedy młodzieniec ukończył nauki humanistyczne, do Pawii, ażeby tam w słynnej, już w X wieku założonej, potem w połowie XIV stulecia na uniwersytet rozszerzonej szkole prawa, ćwiczył się w jurysprudencji. I tam również wiódł św. Karol żywot chichy, unikając zbytnej poufałości z burzliwą kompanią innych scholarów. Ulubionym jego nauczycielem był Francesco Alciato, którego współcześni dla odróżnienia od stryja, sławnego prawnika Andrzeja Alciato, powszechnie Alciatinem zwali. Przyjaźń św. Karola z nim przetrwała uniwersyteckie lata, a powołanie późniejsze na dwór papieski kapelusze kardynalski zawdzięczał Alciatino wpływom wdzięcznego ucznia. Znajomi młodego Boromeusza z tej epoki jego życia nie odgadywali w nim zresztą jeszcze przyszłego mówcy i działacza, bo skupiony, zamknięty w sobie i może wskutek przyrodzonej, z czasem dopiero zbytnej trudności w wysłowieniu małowówny, zdawał się być raczej powolnego umysłu. Ale powagę jedną już wtedy sobie poszanowanie, a dobrocią zniewalał serca. Niejednym rysem zapowiadał zaś już wówczas przyszłe cechy męskiej swej organizatorskiej natury, kiedy np. prosząc ojca o odwołanie dodanego mu niedołęznego mentora, pisał o nim w charakterystycznym zwrocie, już „człowiek ten nawet rozkazywać nie umie”.

Śmierć ojca, która przypadła na czas jego pobytu w Pawii, przerwała mu nagle nauki. Aczkolwiek latami od brata Fryderyka młodszy, ale rozsądkiem i dojrzałością starszy, musiał na życzenie rodziny zająć się podziałem i zarządem ojcowskiej spuścizny. Chwila to była dla niego ciężka, bo z wielu stron zastawiano sidła, aby go wyrwać z duchowego życia i wciągnąć w wir świata, do którego mu nazwisko, położenie i majątek na oścież otwierały wrota. Nie obeszło się nawet bez brutalnych zasadzek,

¹ Komentarz z roku 2021: Obecnie zwyczaj wygaś.

jakie odpowiadały ówczesnemu zepsuciu. Ale wszystkie pokusy odbijały się jak o puklerz, o nieskazitelność jego czystego serca. A jakby dla stwierdzenia, że inną chce iść drogą i że inne go czekają zadania, obok porządkowania ojcowizny zabrał się on właśnie w tejże chwili do pierwszego swojego dzieła naprawy kościelnej: należące do niego, a podupadłe opactwo św. Gracjana poddał surowej reformie, zwracając ku pierwotnej regule i dyscyplinie św. Benedykta. Dochody zaś płynące z tego beneficjum oddzielał sumiennie do innych i poświęcał je wyłącznie na rozliczne jałmużny.

Po załatwieniu obu spraw, uporządkowaniu schedy po ojcu i dokonaniu reformy w opactwie, stały zawsze w przedsięwzięciach, powrócił znów do Pawii, aby tam ukończyć rozpoczęte nauki. Ale słabego od dzieciństwa i aż do końca zdrowia, zaniemógł ciężko i powtórnie przerwać musiał pracę. Niezmierna wstrzemięźliwość, granicząca niemal z głodzeniem się, była zwykłą jego w każdej chorobie kuracją, którą sam sobie przepisywał. To też lud mediolański, przechowujący jak wszyscy Włosi tak żywo wszelką tradycję, do dziś dnia jeszcze każdą ostrzejszą dietę „lekarstwem boromeuszowym” zowie. Lekarze zalecali choremu studentowi rozrywkę. Szukał jej tylko w muzyce, bo ze wszystkich sztuk właśnie ta najbardziej uduchowiona, najwięcej też jego usposobieniu odpowiadała. Miał to później na własną chwałę dowieść, kiedy brał w opiekę wielkiego, a zapomnianego Palestrinę.

Dźwignąwszy się z niemocy, po tych kilkukrotnych niedobrowolnych przerwach skończył św. Karol w dwudziestym drugim roku życia studia prawnicze. Promocja, której dokonał Alciatino, odbyła się uroczyście wśród tłumnego udziału mistrzów i scholarów starożytnej szkoły, przybyłych dla uczczenia dostojnego laureata. Alciatino zęgnął go czule, a z promyka słońca, który przedarł się przez pochmurne niebo i padł w chwili promocji na czoło młodzieńca, snuł życzenia, aby podobny blask opromieniał zawsze dalsze losy ukochanego ucznia. Życie stało teraz przed nim otworem, a o podstawie życiowej pracy wyroki Opatrzności od razu miały rozstrzygnąć. Bo właśnie kiedy kończył studia, zebrani w Rzymie na konklawe kardynałowie szukali następcy w miejsce zmarłego w sierpniu 1559 roku Pawła IV. Konklawe trwało długo, i dopiero pod sam koniec grudnia rozeszła się w Mediolanie przez wszystkich jego mieszkańców radośnie powitana wieść, że wybór świętego kolegium padł na ich ziomka' w drugi dzień świąt Bożego Narodzenia wstąpił był Giovan Angelo de Medici, Mediolańczyk i rodzony wuj św. Karola jako Pius IV na Stolicę Apostolską.

III. Sobór trydencki; Paweł IV

Tymczasem od urodzenia Karola Boromeusza aż do końca lat jego nauki i wejścia na szerszą widownię świata, cztery z kolei minęły pontyfikaty i sobór był się już po dwakroć zebrał w Trydencie, aby po dwakroć doznać przerwy. Nie można spełnienia zadań życiowych św. Karola należycie ocenić, nie uprzytomniwszy sobie wpierw choćby pokrótce ewolucji, jaką reforma Kościoła przez ten czas bądź pod wpływem osobistym następujących po sobie z kolei papieży, bądź wskutek idei soborowej przeżyła. Pierwszy okres soboru za rządów Pawła III był szczególnie do przetrwania trudny. Otwarty w trzecią niedzielę adwentu 1545 roku, musiał od razu walczyć ze złą wolą protestantów, a z brakiem dobrej woli cesarza. Bo Karol V nie ufał Pawłowi III, nie wierzył w szczerą chęć reformy, a wskutek antagonizmu z Francją dopatrywał się podejrzliwie we wszystkich wpływów francuskiego dworu, który ze swej strony wrogi był od początku soborowi zebranemu w granicach cesarstwa. Prócz tego cesarz, który przedtem nalegał usilnie o zwołanie go, obawiał się teraz, że sobór zaogni jeszcze bardziej jątrzącą się już i tak ranę w organizmie niemieckich jego dzierżaw nowym podrażnieniem protestantów, szeregowanych właśnie przeciw niemu w związku szmalkaldzkim. To też z szczególnym wystąpił żądaniem, aby sobór odłożył na bok kwestie dogmatyczne, a zajął się najpierw tylko reformą wewnętrzną. Papież się temu sprzeciwił, bo zrozumiał słusznie, że wobec szybkiego wzrostu protestantyzmu jasne i stanowcze określenie zaczepionych dogmatów było niezbędne, a że ograniczając się do reformy, musiałby stawać niejako w roli oskarżonego przed nowatorami w roli sędziów. Połączenie od początku obu zdań ratowało więc powagę Kościoła i świadczyło równocześnie o szczerości zamysłów papieskich.

Dzięki temu stanowisku, które zajął Paweł III, w ciągu dziesięciu sesji piętnastomiesięcznego swego trwania już w tym pierwszym okresie spełnił sobór doniosłe dla Kościoła zadanie: orzeczeniami dogmatycznymi o znaczeniu Tradycji obok Pisma świętego, o grzechu pierwotnym i jego skutkach, o Sakramentach i zwłaszcza o usprawiedliwieniu, jasno wytkniętą granicą oddzielił zasady wiary katolickiej od błędów nowatorskich; szeregiem zaś dekretów zmierzających do naprawy życia duchownych, mianowicie dekretem bodaj najważniejszym, przypominającym biskupom obowiązek rezydencji ich na stolicach, zakreślił podstawowe wszelkiej reformy warunki.

Zaraza, która wybuchła z początkiem roku 1547 w Trydencie, a zabierała już ofiary i z grona ojców soboru, niemniej zaś ciągły nacisk ze strony zbyt bliskiego, bo w Innsbrucku naówczas rezydującego cesarza, skłoniła w marcu tego roku zebranych biskupów do przeniesienia się z Trydentu do Bolonii. Groźne protesty cesarza przeciw takiemu opuszczeniu jego dzierżaw, tym ostrzejsze, że Karol V świetnym zwycięstwem odniesionym właśnie nad związkim szmalkaldzkim pod Miihlberg, miał na razie w Niemczech wolne ręce, zakwestionowanie przez niego ważności obrad soborowych w Bolonii, wreszcie wzrastające nieporozumienie pomiędzy nim a Pawłem III na tle polityki domowej Farnesów, zahamowały do reszty prace soboru. Papież wzbraniał się długo, ale gdy biskupi ze stronnictwa cesarskiego, którzy pozostali w Trydencie, zaczęli grozić samowolnym podjęciem tamże na nowo obrad, i widmo dwóch soborów, a więc schizmy, stanęło mu przed oczyma, przeląkł się i z początkiem 1548 roku ogłosił odroczenie soboru.

Dalszą sesję zwołać miał już jego następca. W rok po zawieszeniu soboru umarł bowiem Farnese, a na Stolicę Apostolską wstąpił Juliusz III, ten sam, który jako kardynał del Monte przewodniczył soborowi w pierwszym jego okresie. Ani zdolnościami, ani doświadczeniem nie dorastał on poprzednika. Miał nad nim niezaprzeczenie tę jedną wyższość, że nie prowadził szerszej polityki rodzinnej, która Pawłowi III tyle nieraz przysparzała trudności. Rola jego także i pod tym Względem była łatwiejsza, iż wzrastająca aż do końca niechęć Karola V do Pawła III urwała się z tegoż śmiercią i nie przeszła na następcę. Łatwiej mógł więc Juliusz III spełnić życzenia cesarskie i zgodzić się na powrót soboru do Trydentu. Do Bolonii bowiem przenieśli się byli kardynałowie także i z obawy, że bardzo już w latach podeszły Paweł III umrze podczas soboru i że konklawe zbierze się wtedy w Trydencie na ziemiach cesarza i pod jego samowładnym a bezpośrednim wpływem. Teraz to niebezpieczeństwo minęło, i droga była wolna. Dlatego już w drugim roku swych rządów mógł Juliusz III otworzyć jedenastą sesję soboru ponownie w Trydencie.

Ale przecież i tym razem nie mógł sobór skończyć zadania i dobiec spokojnie kresu. Bo jak przez całą połowę XVI stulecia, wśród nierozegranych zapasów Habsburgów z Walezjuszami zbliżenie się Stolicy Apostolskiej do jednych, wywoływało automatycznie wrogi odruch drugich, tak i teraz, z chwilą gdy papież ustąpił życzeniom cesarskim co do siedziby soboru, zagroził Henryk II natychmiast utworzeniem

niezawisłego patriarchy francuskiego. I tak znów widmo schizmy, która przedtem podnosiła głowę w jednym obozie, z drugiego teraz Rzym straszyla. Oprócz tego przybyli tym razem osobiście do Trydentu wysłannicy protestanccy, stwierdzili ostro swoje niepojednanie, stawiając trzy dalekonośne żądania, a mianowicie, aby znieść wszystkie dotychczasowe orzeczenia i dekryty soboru, i poddać je pod ponowną dyskusję, aby na wzór synodów w Bazylei i Konstancji uznać wyższość soboru nad papieżem i wreszcie ażeby zwolnić biskupów od składanej papieżowi przysięgi. Wystawić sobie łatwo, jakie ten wśród soboru rozbrzmiewający, w żądaniach takich zawarty nowy protest wywołać musiał wrażenie. Spotęgowała zaś jeszcze ogólne zniechęcenie nadeszła prawie równocześnie wieść, iż Maurycy Saski, najsilniejszy dotąd z grona książąt niemieckich stronnik cesarza, napadł w znowie z Francją znienacka Karola V, który bezbronny i chory, umknął z Innsbrucku w mrokach nocnych poza Alpy. Wypadki te bliskiemu Trydentowi niemałym groziły niebezpieczeństwem: nie wiedziano, czy i gdzie się książę Maurycy zatrzyma i czy nie zechce ruszyć dalej na południe. Wszczął się popłoch i szczególnie biskupi niemieccy, zatrwożeni o losy swych stolic, tłumnie poczęli sobór opuszczać. W tym stanie rzeczy nie pozostało legatom papieskim nic innego, jak znów obrady przerwać i odroczyć. Niemniej jednak i ten stosunkowo dość krótki soborowy okres nie był płonny: powstał kanon o Eucharystii, ustalono w dalszych orzeczeniach naukę o Sakramentach i przyjęto szereg dekretów zaostrzających dyscyplinę kościelną.

Ale gwałtowne wystąpienie protestantów na soborze rozwiało chyba do reszty nadzieje Karola V i tych wszystkich, którzy się jeszcze łudzili, że zdołają zatamować prąd reformacji i zwrócić go do wspólnej macierzystej rzeki. Teraz wypadło się już liczyć jasno z bolesnym, lecz dokonanym rozdarciem. Dobrą bez wątpienia tego poczucia stroną było zamknięcie tak niebezpiecznej w rzeczach wiary drogi do kompromisów i prowizoriów. A właśnie do takiego środka uciekł się Karol V przed kilkoma dopiero laty, kiedy w tak zwanym interim cesarskim przedłożył samowolnie świeckiemu sejmowi tymczasowy zarys reformy Kościoła i przepisów czysto kościelnych, tworząc jakąś z natury rzeczy w zarodku poronioną, z katolicyzmu i protestantyzmu sklejoną religię. Z innej jednakowoż strony skutkiem tego nowego protestu nowatorów na soborze i wynikłego stąd powszechnie przekonania o niemożliwości przyścia do zgody, był pokój religijny zawarty w r. 1555 w Augsbuurgu, pokój, który oznaczał w gruncie kapitulację Karola V przed protestantami.

W tych warunkach reforma wewnętrzna wysunęła się znowu na pierwszy plan jako wyłączone i niemal jedyne już z bliższych zadań Kościoła. Nie zdoławszy nawrócić zbuntowanych do spójni, Kościół musiał teraz dźwigać to, co wewnątrz w społeczności katolickiej dźwignąć się dało. Jak głębokim było to poczucie, tego dowiodły wybory dwóch po zgonie Juliusza III w krótkim przeciągu czasu następujących po sobie papieży. Pierwszy z nich, wyniesiony w kwietniu 1555 r. na Stolicę Apostolską Marcelli II Cervini, był według świadectwa współczesnych żywym uosobieniem naprawy kościelnej. Przykładny, skromny, uczony, pełen rozwagi i miary, wzbudzał on powszechną cześć i zaufanie. Upatrywano w nim tego, który dzieło soboru najlepiej na nowo podejmie: stał był swego czasu przy otwarciu obrad trydenckich jako legat Pawła III; mniemano teraz, że może on jeden do pomyślnego końca zdoła je doprowadzić. Jakim był, tego dowiódł od razu w stosunku do krewnych. Już poprzedników swych gromił śmiało za zgubny ich nepotyzm. Teraz natychmiast po swoim wyniesieniu na stolicę surowo zakazał własnej rodzinie przybyć do Rzymu. I pod tym względem zapowiadał więc nową, lepszą erę. Ale śmierć położyła nagły koniec rozbudzonym powszechnie nadziejom. Wśród ogólnego żalu, po dwudziestodwudniowych tylko rządach umarł Marcelli II, a współcześni biadali, „że świat nie był takiego człowieka godnym” i przypominali wiersz Wergiliusza na zgon innego Marcellusa, „że los go tylko chciał pokazać światu”.

Drugim papieżem wybranym w tym samym roku 1555 był Paweł IV Caraffa.

Kto zwiedzał w Rzymie piękny kościół dominikański *Santa Maria sopra Minerva*, tego niezawodnie uderzył w kaplicy św. Tomasza, gdzie Filippino Lippi roztoczył na ścianie wspaniałą apoteozę wielkiego Akwinaty, umieszczony po lewej stronie grobowiec Pawła IV. Dziwna ta w swym surowym majestacie postać o zapadłych pod wysokim czołem w głąb oczach, o wychudłych, długą brodą obramionych policzkach i zaciśniętych jakby skurczem wargach, robi przenikające wrażenie, nie błogosławiącego starca, ale jakby grożącego upiora. Znaczący zarzucają pomnikowi zbyt realizm, uważają go za dzieło przekwitu i upadku sztuki. Lecz historyk znajdzie w nim wierne odtworzenie takiego Pawła IV, jakim się on zarysował na tle dziejów papieżstwa, gdzie w długim szeregu arcykapłańskich postaci niejednym rysem przypomina wielkich swych poprzedników, Hildebranda lub Innocentego III, Bonifacego VIII lub Juliusza della Rovere.

Z Neapolu, z pod stóp Wezuwiusza, gdzie miał swą siedzibę możny i starożytny ród Caraffów, wyniósł on tę wulkaniczną naturę, która go cechowała przez całe życie. Szedł przez nie czysty, śmiały, i nieugięty, surowy dla drugich, ale i dla siebie, a zapatrzonej w jeden cel tylko: w naprawę upadłego Kościoła. Od zawiązania w Rzymie bractwa Bożej Miłości aż do założenia wspólnie z Kajetanem z Thiene zakonu teatynów, od zarządu diecezji w Chieti, potem w Neapolu aż do późniejszej pracy w kongregacjach kardynalskich, nie podjęto przez prawie pół wieku żadnego zadania reformy, na którym nie byłby on wyrzył znamienia potężnej swej indywidualności. Ale w działaniu zawsze gwałtowny i bezwzględny, nie dbał o ludzi i nie umiał ich sobie jednać. To też gdy wybór padł na niego, siedemdziesięcioośmioletniego starca, nie liczącego nigdy w kolegium kardynalskim przyjaciół, upatrywał on w tym wyłączone dzieło Ducha Świętego, co wzmogło tylko jeszcze jego górne pojęcie o znaczeniu pontyfikatu. Zapragnął wywyższyć papieską godność ponad wszystkie inne władze świata, zarówno w małych jak i w wielkich rzeczach, czy to gdy żyjąc i nadal życiem mnicha, trawiąc dnie i noce w odosobnieniu na modlitwie i pracy, roztoczył wokoło siebie w publicznych występach przepych wspaniałego dworu, czy kiedy stroniąc dotychczas od polityki, rzucił się nagle w jej wir i podjął bez wahania walkę z przemocą hiszpańską. Bo domu austriackiego i Hiszpanii, depczących północne i południowe Włochy, nienawidził z całą namiętnością swej włoskiej duszy. Sam zwykł był porównywać Włochy do pięknego instrumentu, na którym — mawiał — cztery w dźwięcznym zespole winny być rozpięte struny: Rzym, Neapol, Mediolan i Wenecja. Karolowi V nie mógł więc darować zakłócenia tego wymarzonego politycznego porządku, tak jak w dziedzinie religijnej wytykał mu zbyt uległość wobec reformacji, a zbyt śmiało narzucanie Kościołowi własnej cesarskiej woli. Tylko wskutek przedawnionych pojęć średniowiecznych nie umiał się on liczyć z warunkami, w których żyć mu przyszło. Nie pojmował, że na nowe podjęcie hasła Juliusza II *fuori barbari* — precz z barbarzyńcami — było już za późno. A właśnie temu hasłu poświęcił wszystko, nawet zasady. Bo on, który całe swoje życie na walkę z zakorzenionymi w Kościele nadużyciami poświęcił, który dlatego też poprzednikom swym nepotyzm najostrzej wytykał sam się teraz własnymi nepotami otoczył i jął ich bez miary na swoją i Kościoła szkodę wywyższać. Nie ufał bowiem kardynałom, z których wielu należało do stronnictwa cesarskiego i pragnął stworzyć sobie oddane, ślepe narzędzie z krewnych na walkę z Hiszpanią. Była to sroga pomyłka, bo rządy świeckie w Rzymie przeszły w niegodziwe ręce Carla Caraffy i jego brata, zuchwałych

i ambitnych intrygantów, którzy poczęli wyzyskiwać bezwstydnie zaufanie zaślepionego w nich starca, odgraniczając go od ludzi, aby tym śmieiej, bez obawy skarg i donosów na swoją tylko korzyść działać. Polityka ich prowadziła Rzym do zguby: o mało nie powtórzył się po latach trzydziestu okropny *sacco di Roma*. Alba stał już na czele wojsk hiszpańskich pod murami wiecznego miasta, które było bezbronne. Tylko skrupuły Filipa II, który był świeżo rządy po ojcu objął, uratowały w ostatniej chwili Rzym i papieżstwo. Ale w pokoju zawartym po dwuletnich walkach w Cave doznał Paweł IV dotkliwego upokorzenia: Kampania rzymska i państwo papieskie były spustoszone, skarb wyczerpany, władza świecka Stolicy Apostolskiej osłabiona, a Hiszpanie dumniej niż kiedykolwiek rozkazywali we Włoszech.

Gorycz zawodu była dla starego, ale i klęską nieugiętego papieża jakby nowym bodźcem do podjęcia ze zdwojoną teraz energią dawnych zadań reformy. Okres ten, w jego życiu ostatni, zaznaczył się gromem, który w nepotów uderzył. Otworzono nareszcie papieżowi oczy na ich knowania w celu wykrojenia sobie księstw niepodległych, na ich gwałty i występne życie. Jak przedtem nad miarę ich wynosił, tak teraz postanowił zetrzeć ich na proch: wezwawszy w pełnym konsystorzu Boga na świadectwo, że tajonych mu zawsze knowań owych niegodziwców nie znał, strącił ich z dzierzonych posad i urzędów, wyzuł z piastowanych godności i sromotnie wygnał z Rzymu. Gwałtowny jak zawsze godził przy tym w winnych i w niewinnych. Ale ten bezprzykładny pogrom nepotyzmu miał być dla Kościoła zbawienny: z Caraffami zniknęli nepoci pokroju Riariów, Borgiów i Farnesów na wieki.

Tymczasem zaś dzieło reformy szybkie robiło postępy. Paweł IV był człowiekiem absolutnej, prędkiej decyzji. To też obywało się bez długich narad, a miejsce zbytnich słów i skryptów zajęły teraz rozkaz i wykonanie. Do obowiązku rezydencji zmusił papież biskupów bawiących w Rzymie, odsyłając wszystkich do przynależnych diecezji. Biada temu, który śmiał się ociągać. Na wędrownych mnichów z upadłych zakonów, którzy byli plagą owej epoki, kiedy włócząc się z kąta w kąt, z kraju do kraju, szerzyli błędne nauki i zgorszenie, padł postrach. Rozkazano im wracać natychmiast do klasztorów; kto nie usłuchał od razu, tego chwymano i wtrącano do więzienia, lub skutego słano na galery. Przeciw symonii, temu rakowi toczącemu od dawna Kościół, rozpoczęła się bezwzględna walka, i najsurowsze kary trybunałów papieskich padały na przestępców, byle złe wyplenić z korzeniem. U góry zaś, w kolegium kardynalskim, zerwał Paweł IV

z zgubną ustępliwością wobec książąt świeckich i z protekcją dworów zagranicznych przy mianowaniu nowych purpuratów: odtąd o godności purpury rozstrzygać miała zasługa. Że wszystkie te środki naprawy stosowane były nieraz z nieubłaganą surowością, że inkwizycja, to twarde w rękach Pawła IV narzędzie, raniła czasem dotkliwie i niewinnych, jak np. niesłusznie posądzanych o brak prawowierności znakomitych kardynałów tej miary, co Reginald Pole lub Giovanni Morone, na to się zgadzają świadkowie katoliccy tak niepodejrzani, jak Seripando lub ubolewający nad innymi zarządzeniami Caraffy Canisius. Co więcej jezuita Gonealvez opowiada, iż rozmawiał właśnie z św. Ignacym z Loyoli, kiedy przyniesiono z Watykanu wiadomość, że się konklawe po śmierci Marcelego II skończyło i że wybór padł na kardynała Caraffę. Święty Ignacy nie rzekł ani słowa, ale Gonealvez zauważył, jak po wymienieniu nazwiska nowego elekta jakby cień po jego obliczu przeleciał. I rzeczywiście sam święty zwierzał się potem wobec zaufanych, jak na tę wieść „zadrżały w nim wszystkie kości”. Bo Caraffę znał od dawna, więc słusznie się zatroskał o dzieło swego życia, o młode Towarzystwo Jezusowe, które miało niejedno także od nieufnego wobec każdej nowości papieża wycierpieć.

A przecież Paweł IV był człowiekiem niezwyklej miary, i rządy jego zaważyły jak mało które na losach Kościoła. Namiętnością reformacji tłumaczy się poniekąd gwałtowność odporu. Na stosunki panujące w Kościele, w jakich go zostawiły schyłek średnich wieków i epoka Odrodzenia, nie mogły zaś żadną miarą wystarczyć półśrodki, i dlatego właśnie, że Paweł IV ten stan opłakany w ciągu długiego żywota na wylot poznał, stał się on najsurowszym z papieży. Ale dopiął celu, bo po jego rządach, jak po burzy, wionęło świeższe, orzeźwiającej społeczność katolicką powietrze. Tylko nie dziw, iż kiedy bramę Kościoła przed starymi nadużyciami i nowymi błędami zatrzasnął, uczynił to z taką przyrodzoną gwałtownością, że wśród współczesnych i w najsprawiedliwszych „zadrżały wszystkie kości”, a odgłos jak grzmotu pobrzmiewa w historii.